114 Pzredi,

№ 104. Warszawa, dnia 15 (27) Grudnia 1872 roku. Tom II. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.



Zamek w Krupem.

STOSUNKI DOMOWE I SPOŁECZNE,

W XIII WIEKU.

przez **Wł. Chomentowskiego.**

Dokończenie. (Ob. Nr. 103).

Ogólny widok kraju. — Włości, zamki i kościoły. — Najpospolitsze źródła przemysłu i dochodów: myślistwo, rybołówstwo i pszczolnictwo. Przyczyny zmian w ustawodawstwie i w urządzeniach kraju. — Kupna i zamiany majątków. — Przywileje i jurysdykcya patrymonialna panów. — Zabytki dawnego obyczajowego prawa. — Powstawanie osad na prawie niemieckiem. — Panowie i sołtysi.—Szlachta i kmiecie.

Z kolei zastanowić się nam wypada nad wzajemnemi stosunkami stanów, mianowicie możnowładców, rycerzy niższego rzędu i kmieci w pomienionéj epoce.

W najodleglejszym okresie dziejów naszych, napotykamy przywileje monarchów zasłużonym mężom w narodzie na dobra prawem dziedzicznėm. Majątki takowe przechodziły w spadku na synów i dalszych krewnych, lub na synów i na córki, skoro zawarowano w przywileju spadkobierstwo równie w żeńskiéj i męzkiéj linii.

Nie możemy oznaczyć z pewnością początku jurysdykcyi patrymonialnéj panów, ale niewątpliwie sięga ona bardzo odległéj epoki. Monarchowie, w nagrodę zasług uwalniali panów i ich poddanych od jurysdykcyi kasztelanów, a nawet znakomici dostojnicy kraju dzierżyli w swych dobrach nader obszerną, prawie książęcą władzę. Biskupi i opaci niektórych klasztorów w XII wieku, a nawet wcześniéj, korzystali już z przywileju władzy patrymonialnéj nad poddanemi. Nadania tego rodzaju upowszechniają się z końcem XII wieku. W nieuprzywilejowanych dobrach, zarówno kmieć jak szlachcic i pan włości podlegali sądom kasztelańskim i wojewodzińskim, co, jak wspomnieliśmy wyżéj, nie było wcale korzystném, z powodu opieszałego i niezawsze słusznego wymiaru sprawiedliwości. Owóż upowszechnienie jurysdykcyi patrymonialnéj w dobrach panów duchownych i świeckich, następnie uwalnianie od ciężarów i licznych danin polskiego prawa, było zgodne z duchem i potrzebami czasu.

Jak książęta, tak biskupi i panowie w swych dobrach, osadzali leżącą odłogiem ziemię przybyszami, na niemieckiém prawie. W tym celu nadawali przywileje sołtysom, którzy sprowadzali osadników i byli zarazem stróżami przepisanego porządku i sędziami włości. W dobrach panów, którzy mieli jurysdykcyą patrymonialną, lecz dawnėm polskiém rządzili się prawem, zarówno kmiecie jak niewolnicy podlegali ich sądom, z tą atoli różnicą, że pierwsi mogli apellować do książęcego sądu, drudzy zaś wyjęci byli zupełnie z pod opieki wyższéj władzy. Pomieniona apellacya miała miejsce, jeżeli kmieć toczył spór z panem o wyrządzoną mu przez tegoż krzywdę lub o niewymierzenie sprawiedliwości. Zamknięta była droga do apellacyi kmieciom w dobrach panów, którzy używali przywileju książęcego.

Znaleziony przed kilku laty i ogłoszony drukiem przez Z. A. Helcla zabytek dawnego polskiego obyczajowego prawa, maluje nam stosunki prawne i obyczajowe średniéj warstwy społeczeństwa, dla któréj były pisane. Ustawy te obowiązywały prawdopodobnie w pogranicznéj ziemi dawnych Prus. Określają więc stanowisko kmiecia i szlachcica czyli rycerza niższego rzędu w danéj miejscowości.

Zauważyliśmy, że najniższą warstwę ludności rolniczéj stanowili poddani czyli niewolnicy, którzy pozostawali w zupełnéj zależności od panów i wyjęci byli z pod opieki prawa. Nie wolno im było przenosić się do innego majątku, musieli pracować według rozkazu pana, bez ograniczenia czasu i ilości pracy. Nie mieli oni żadnéj własności, zatém pozostawali na stole czyli wyżywieniu pańskiém.

Kmiecie mieli wydzieloną większą lub mniejszą przestrzeń gruntu, z którego opłacali czynsze i odrabiali pewne powinności, stosownie do miejscowych warunków. Sprawy pomiędzy kmieciami rozstrzygano na mocy zeznania świadków. W sądach szlachcic i kmieć opłacali się pieniędzmi. Największą płacono karę za morderstwo, za gwałt lub rabunek na publicznéj drodze. Wchodziła atoli w rachubę, w oznaczeniu ilości opłaty, osobistość winowajcy i pokrzywdzonego. Kmieć za pobicie rycerza na drodze wiejskiéj płacił sześć grzywien i tyleż za złamanie pokoju drogi czyli bezpieczeństwa publicznego. Zważano też na okoliczności, w jakich dopuszczono się występku. Za pobicie w karczmie włodarza, to jest szafarza albo komornika, płacił kmieć przed nieszporami większą, po nieszporach mniejszą karę. Uwzględniało tu prawo, że w pierwszym razie bawił włodarz w karczmie w interesie swego pana, w drugim zaś to jest wieczorem, przebywał najczęściéj dla napitku. Kradzież z komory rycerza czy kmiecia jednakowo była karaną dwunastu grzywnami, za kradzież z kieszeni rycerza sześciu, ale za okradzenie kieszeni luźnego pachołka dwunastu, z uwagi, że tenże nie posiada inszego schowania.

Mieszkańcy wsi, na któréj gruncie popełniono morderstwo lub kradzież, odpowiadali w razie, jeżeli zginął ślad złoczyńcy. Obowiązani byli ścigać z krzykiem do sąsiedniéj granicy, zatém goniono za złoczyńcą z wioski do wioski, z opola do opola. Skoro udowodniono kmieciom, że nie ścigali mordercy, ściągano z nich karę pieniężną przepisaną za zabójstwo.

W braku świadków lub innych przekonywających dowodów, uciekano się do pojedynków lub prób, na mocy wyroku sędziego.

Pojedynki odbywały się na miecze lub kije. Rycerz z rycerzem i rycerz z kmieciem, skoro drugi pozywał pierwszego, bili się na miecze. Kmieć z kmieciem i z rycerzem, który go pozwał, walczyli na kije. W sprawie atoli rycerza z kmieciem, dozwalało prawo pierwszemu wyznaczyć zastępcę do walki, w osobie kmiecia. Osoby duchownego stanu nie mogły pojedynkować się lecz wyznaczały zastępców.

Pojedynki czyli sądy boże znane już u nas były prawdopodobnie w XII wieku. Konrad książe Mazowiecki w dyplomacie z 1222 r. potwierdzając przywileje ojca Kazimierza i dziada Bolesława klasztorowi Czerwińskiemu, oświadcza, że włościanie przywiązani do gleby podlegają jurysdykcyi opata, że zatém w zakresie tejże dozwolone są pojedynki, próby żelaza i wody, według dawnego zwyczaju. (Rzysz. I 26—27).

Pomienione sądy boże odbywały się w sposób następujący:

Gdy stawano do pojedynku na kije, obsypywano głowy walczących grubo popiołem, ażeby krew nie napływała do oczów i nie przeszkadzała do walki. Każdy winien był mieć kij, tarczę i poduszkę pod ramieniem, dla sposobniejszego noszenia tarczy. Jeżeli wypadł kij jednemu z walczących, podawano mu drugi. Walka atrwała tak długo, aż wyznał jeden z zapaśników że jest pokonany, lub za pokonanego go uznano.

Drugi rodzaj sądów odbywał się przez próbę ognia lub wody. Poddawano oskarżonego próbie, skoro przedstawił słuszne dowody, jako nie może stanąć do walki. Nakazywano mu stąpać po rozpaloném żelazie lub nieść takowe w ręku. W pierwszym razie prowadzono go pod ręce i ostrzegano, aby stąpał we właściwym czasie i nie chybił. Następnie obwiązywano ranę woskiem i opatrywano starannie; trzeciego zaś dnia rozpoznawano czy jest oparzonym lub nie, to jest, czy zagoiła się rana. Oparzony uznawany był za pokonanego.

Kiedy próba odbywała się przez pławienie, wiązano obwinionemu ręce przed goleniami i przekładano drzewo pomiędzy kolana i ramiona. Skoro się nie zanurzał lecz płynął nad wodą, uznawano go za winnego. Przed próbą kapłan kropił wodą święconą rozpalone żelazo lub wodę, poczem odmawiał modlitwę o wyświecenie występku lub niewinności. Pierwiastkowo był jeszcze zwyczaj śpiewania Mszy Ś. zastósowanéj w tym celu, ale w końcu XIII wieku wyszło to z użycia, w skutek zakazu Stolicy Apostolskiéj, która potępiała barbarzyński zwyczaj prób i pojedynków, zatém zabraniała najmocniéj osłaniać go powagą kościoła.

Przytoczywszy ustęp z obyczajowego polskiego prawa, przechowanego w dawnym zabytku z początku XIV wieku (Helcel tom 2), dorzucimy słowo o powstawaniu osad na prawie niemieckiém, pod zarządem sołtysów, którzy z ramienia książąt lub panów, sprowadzali osadników i sprawiali sądowniczą władzę. Otrzymywali oni na własność dziedziczną pewną ilość gruntu, z wolnością od opłaty czynszu na zawsze lub na pewien przeciąg czasu; przyznawano im prawo pobierania trzeciego denara z opłat od spraw sądowych, niekiedy zaś i inne korzyści, jak np. zakładania ulów i podbierania miodu w lasach, polowania, łowienia ryb we wszystkich stawach i t. p. W nadaniach dziedzicznego sołtystwa, rozciągali książęta niekiedy prawo spadkobierstwa nietylko w męzkiéj lecz w żeńskiéj linii. Pełnili sołtysi służbę wojskową na koniu i w zbroi, stawali na zawołanie w zamkach książąt lub swych panów, jako też przeprowadzali ich w podróży, mianowicie do granicy włości. Tak Mieczysław książe Opolski w nadaniu pewnemu szlachcicowi sołtystwa 1232 roku zastrzega, że w razie jego przyjazdu, ma spotykać go w polu z odkrytą głową i następnie przeprowadzić w odległości pół mili (Kodeks d. tynieckí I 21—22). Mógł być więc sołtysem szlachcic zarówno jak kmieć, chociaż najczęściéj nadawano ten urząd kmieciom. Czasami udzielono przywiléj na sołtystwo dwóm osobom, które obowiązane były zarówno do pełnienia pewnych obowiązków. Dwaj sołtysi postanowieni w jednéj włości sądzili sprawy, stawali zbrojno na koniu, na zawołanie księcia lub pana, wyjeżdżali na jego spotkanie i przeprowadzali do granicy lub do wskazanego miejsca na nocleg. Oni też dzielili się w równéj części dochodami. (Bart. K. d. 104—105. 178—179). Oswald kasztelan słoński przy sprzedaży kmieciowi sołtystwa, zastrzega między innemi, że w razie jego przejazdu, żony lub córki, z okoliczności zaproszenia na jaką uroczystość lub zabawę, winien wyjeżdżać na spotkanie sołtys lub jego syn. (Rzysz. I 223—226).

Władza sądowa sołtysów, stósownie do przywileju nadawczego była mniéj lub więcéj ograniczona. Uważamy z dyplomatów XIII i XIV wieku, że w ogóle sądzili sołtysi tylko sprawy

mniejszéj wagi. W wypadkach pociągających karę śmierci wyrokował zazwyczaj sam książe, pan, lub wysłany z jego ramienia sędzia, na generalnych wiecach, które odbywały się zazwyczaj trzy razy do roku. Z okoliczności tych sądów składano pewną daninę w naturze lub w pieniądzach, zwaną obiedne; dwa razy do roku włościanie, trzeci raz sołtys.

Niekiedy na mocy przywileju służyło sołtysom prawo sądzenia spraw gardłowych, z dozwoloną atoli zawsze apellacyą do księcia lub pana. Tak więc w XIII wieku upowszechnił się pomieniony stosunek prawny wraz z nadaniami niemieckiego prawa. Włościanie podlegali sądom sołtysa i ławników przez nich obranych, w ważniejszych zaś sprawach, w wyższéj instancyi wyrokował pan. Zapozwany sołtys stawał przed sądem księcia lub pana za okazaniem jego pierścienia.

Rozciągali panowie jurysdykcyą patrymonialną w swych dobrach nad wszystkiemi mieszkańcami włości, którzy trudnili się uprawą roli lub pełnili u nich służbę. W wioskach lub osadach założonych na niemieckiém prawie, osiadali licznie przybysze czynszownicy, których podciągnięto z czasem pod ogólną nazwę kmieci, to jest ludzi wolnych trudniących się rolnictwem.

W niektórych dyplomataryuszach z pierwszéj połowy XIV wieku, przydana nazwa kmieci osobom szlacheckiego rodu, stała się źródłem domysłów w przedmiocie określenia znaczenia wyrazu kmieć.—(Maciejowski hist. praw. II 260). Owóż zdaniem naszém, użyty tam jest wyraz kmieć nie w istotném jego społeczném znaczeniu, lecz w stosunku do panującego, którego każdy szlachcic, urzędnik lub wyższy dostójnik kraju, mógł nazwać się kmieciem lub sługą. Tak tłomaczymy wyrazy przywileju z 1313 r. Trojdena księcia mazowieckiego, gdzie Krystyna wojewodę czerskiego wiernym swym nazywa kmieciem (Kod. d. mazowiecki 38—39).

W najodleglejszéj historycznéj epoce, o ile powołać się możemy na świadectwo wiarogodnych dokumentów, napotykamy ludność rolniczą, kmiecą, wyróżnioną od szlachty ustawami obyczajowego prawa i pewnemi powinnościami, które obowiązywały kmiecia, w stosunku do panującego lub dziedzica majątku.

Stan rycerski, według świadectwa Marcina Galla, przedstawiony był dość licznie za panowania Chrobrego. Mnożył się zastęp rycerzy przybyszami z Czech i Niemiec, ale nie mniéj z nowo uszlachconych kmieci, którzy na równi ze szlachtą przyczyniali się do obrony kraju. Ztąd Marcin Gallus tak wielki niejednokrotnie kładzie nacisk na potęgę zbrojną Bolesława Chrobrego.

W niższym szeregu szlachty, ukształtowanéj na wzór zachodniego rycerstwa, stoi swierczałka, odpowiadający w nazwie i w znaczeniu giermkowi (squir, ecuyer). Z téj klasy rozrodził się z czasem bardzo liczny zastęp drobnéj szlachty, zmięszanéj późniéj i urównianéj w prawach z całą rzeszą zubożałego rycerstwa. W wiekach XIII, XIV i XV widzimy stan pośredni sołtysów, pomiędzy panami włości i jéj mieszkańcami. Za ich pośrednictwem jak napomknęliśmy wyżéj, zaludniają się puste obszary ziemi przybyszami, których wabią korzystne przywileje, mianowicie wolność od opłaty w pewnym lat przeciągu wszelakiego czynszu. Sołtysi też wzmacniają w XIII wieku zastęp społeczności rycerskiéj, na któréj spoczywa głównie obrona kraju.

Wprowadzenie więc niemieckiego prawa, w celu zakładania nowych włości i osad, zatém pomnożenia ludności i podniesienia dobrobytu, było jednym z najważniejszych postępowych czynników tego okresu.

Jednocześnie dla miast naszych świetniejsza nastaje doba. Pomimo klęsk i spustoszeń najazdów tatarskich, nowa dla ich przemysłowego rozwoju otwiera się era. Wprawdzie przywileje magdeburskiego prawa wniosły do miast polskich żywioł niemiecki, ala też niewątpliwie stały się źródłem ich zaludnienia i pomyślności.

Z KATEDRY.

Do rzędu tegorocznych prelekcyj na korzyść ubogich przybył jeszcze odczyt p. Dzięciołowskiego o zbytku. Rozbiór zbytku, z którym wszyscy spotykamy się na każdym niemal kroku, sięgający z jednéj strony w żywotną sferę praktyki, z drugiéj znowu oparty na wskazówkach naukowych, mógł słusznie obudzić ciekawość publiczności i rzeczywiście ściągnął dość liczne grono słuchaczy, składające się przeważnie.... z kobiet. Stosownie do zapowiedzianego programatu, p. D. po wyliczeniu pisarzy stojących już to w obronie zbytku, już przeciw niemu, zwrócił najprzód uwagę na powszechność tego społecznego objawu, poczém przystąpił do jego okreslenia. „Zbyteczném, twierdzi prelegent jest to, co przewyższa nasze potrzeby, te zaś określić jest niepodobieństwem, bo zależą one od mnóztwa przyczyn, miejsca, czasu, obyczajów i postępu produkcyi.” Ze względu na stan obecny nauki i dzisiejsze ekonomiczne stosunki społeczeństwa, trudno było prelegentowi dojść do innego wniosku, chociaż zapewne w liczbie słuchaczy znajdowali się i tacy, którzy pragnęli dowiedzieć się, według jakiéj stałéj normy dałoby się odróżnić to co jest zbytkowném, od tego co w każdym szczegółowym wypadku stanowi nieodzowną potrzebę. Kwestyę tę, jak i wiele innych zawiłych pytań, w braku właściwszego probierza rozstrzygać musi tymczasem doświadczenie, prosta empirya, kierowana w różnych odrębnych okolicznościach rozsądkiem i sumieniem oddzielnych osób. Że inaczéj być nie może, wina już w tém nie prelegenta, który trzymając się ściśle istniejącéj teoryi, nie zamierzał „à ses risques et perils” uprzedzać jéj postępu; lecz dowodzi to niedokładności saméj nauki, któréj chwiejność ocenił każdy, kto zadał sobie pracę przypatrzenia się bliżéj dotychczasowym jéj podstawom.

Następnie w odczycie swoim p. D. zajmował się wykazaniem wpływu, jaki wywiera zbytek (ów fakt oczywisty, choć nie rozjaśniony w zasadzie) na bogactwo krajowe. Żeby odpowiedzieć na to pytanie, prelegent streścił zasady głównego obrońcy zbytku Sismondiego, i rozebrał je krytycznie. Był to zdaniem naszém bardzo właściwy sposób wykładu, przedstawiał bowiem przedmiot o ile możności różnostronnie, i świadczył wyraźnie, że prelegent miał przed sobą rzeczywistego przeciwnika, nie zaś znane don-kiszotowskie wiatraki. P. D. zarzuca Sismondiemu, że uwzględnia on wyłącznie prawo jednostki do rozrządzania swą własnością, pomijając dobro ogółu, i że przyjmuje dwie tylko ostateczności co do użycia dochodu, t. j. albo wydanie go na zbytek, lub też nagromadzenie w postaci martwego pieniężnego kapitału, zapominając o trzeciéj najważniejszéj drodze t. j. o produkcyjném użyciu, które ma za cel powiększenie bogactwa zbiorowego a przytém daje zarobek klassie pracującéj, tak samo jak i zbytkowne wydatki. Chcąc uwydatnić wpływ zbytku na obyczaje, prelegent zwrócił się do historyi, mianowicie Rzymu i Francyi. Część ta odczytu, zawierająca niektóre ciekawe wiadomości co do sposobu zapatrywania się na zbytek Voltaira, Mélon'a i administracyi francuzkiéj w ostatnich czasach, nadto jednak obfitowała w szczegóły drobiazgowe, przeciążając teoryę naukową żywiołem anegdotycznym i dla tego nie mogliśmy żałować, iż „brak czasu” nie pozwolił p. D. dłużéj zatrzymać się na tym przedmiocie.

W ostatniéj części prelekcyi poświęconéj krajowym stosunkom, prelegent wykazał ważniejsze objawy zbytku, jako to: życie nad stan, płochość i rozpustę złotéj młodzieży, nieodpowiadający potrzebie czasu i położenia sposób wychowania młodych pokoleń, co wszystko stało się powodem przejścia całego prawie przemysłu w obce ręce. Zdanie jednak, że zbytek u nas przejawia się głównie w ucztowaniu, jest poniekąd anachronizmem, i za rys charakterystyczny zwyczajów społeczeństwa żadną miarą służyć już dziś nie może.

Obok wynikającéj z natury przedmiotu nie ścisłości wewnętrznéj, szkodziła jeszcze niekiedy odczytowi pana D. niejasność zewnętrzna okresów, pochodząca z nietrafnego używania wyrazów, co zresztą tłomaczy się brakiem wprawy stylowéj. Pomimo to, należy oddać słuszność prelegentowi, że pojmując doniosłość wybranego przez siebie tematu, nie usiłował zastąpić sumiennego badania doraźném natchnieniem, lub gładkiemi frazesami, z po za których zwykle wygląda zuchwałe lekceważenie publiczności. Jakoż znajomość literatury przedmiotu i traktowanie go z punktu współczesnéj wiedzy, stanowiły niezaprzeczenie ważną dodatnią stronę odczytu pana Dzięciołowskiego. *Karol Dunin.*

RAMUŁTOWIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 103).

XVII.

— Szedłem ulicą! prawdziwy instynkt serca mnie tu przyprowadził...

— O polska poczciwa naturo! zawołał Dołęga... gdzie brzęczą kielichy... bo w nich wesele, miłość i wszystkie szlachetne popędy...

— Masz pan zupełną słuszność, panie Maryanie, rzekł Herman: nadewszystko w kielichu jest Leta zapomnienia... wszystkich policzków które nam dają codziennie, wszystkich głupstw, które popełniamy sami, wszystkich podłości, któremi się posługujemy dla wzniosłych celów...

Ale hałas okrutny przerwał panu Hermanowi... który już dokończyć nie mógł.

— Co mu się to stało! zawołał Paprzyca zgorszony... toast jego pachnie rewolucyą... to chłopiec...

— Fantastyk nic więcéj, szepnął Lubicz... lubi paradoksa... ale wszystka u niego siła w języku... nie ma niebezpieczeństwa!

XVIII.

Herman zdawał się wskrzeszony do nowego życia... nudy, na które cierpiał znikły bez śladu, humor powrócił... lenistwo go opuściło. Jedna jakaś iskra która padła na ten palny materyał

rozniecila w nim płomień. Co było tą iskrą—trudno było odgadnąć! Sylwana słowo? litość nad nim? ciekawość bliższego poznania Hanny? ukąszenie przez Lubicza? fantazya dla Violi? może wszystko to razem—dosyć, że Herman od kilkunastu dni był zupełnie zmieniony. Sarkastyczna tylko werwa pozostała w nim dawna, jeśli się jeszcze w nim nie powiększyła.

Gdy Sylwan się coraz bardziéj w sobie zamykał i mimo energii charakteru, odsuwał od ludzi, myślał odosobnić i wyrzec stosunków,—Herman rzucił się w walkę i płomień z młodzieńczą chciwością wrażeń...

Nikt przecię z najbliższych wytłómaczyć go sobie nie umiał: czego on właściwie pragnął, do czego on dążył? Sam on obecnéj chwili był panem, a pierwszemu wrażeniu posłuszny nigdy się z jutrem nie rachował...

Przy wieczerzy na którą się dostał przez okno, siedziano dosyć długo, dosiedział i on usiłując poić drugich, sam trzeźwy — i podobywać z nich co myśleli. Tak jak czasem pijanym filuci plondrują kieszenie, on mózgi plondrował. Dowiedział się też dosyć ciekawych rzeczy i odszedł z tego pobojowiska z głową swobodną, śmiejąc się sam do siebie.

Jedną ze zdobyczy tego wieczoru najcenniejszych dla Hermana, był mocno napiły w końcu Dołęga... Rzadko się trafiało żeby pan Maryan miarę przebrał, lecz raz obałamucony — szalał. Tak się i teraz stało... Szampan mu wlał w piersi niesłychaną wesołość i niezmierną miłość ludzi... Pokochał Hermana i rozlubował się w jego sarkazmie. Zaczął go ściskać, całować, unosić się nad nim... wodzić się z nim po kątach, opowiadając różne osobliwsze tajemnice, których był posiadaczem.

— Kochany hr... hrabio! wołał!—ty nie masz pojęcia jak ja cię kocham! E! dodał, niech tego Lubicza dyabli wezmą! To furfant jest... ja powinienem był ożenić się z twoją matką, a dopiero byś zobaczył jakby u nas było wesoło... To jezuita... to faryzeusz! Wy nie wiecie, szeptał coraz zapalczywiéj Dołęga przyciskając do kąta Hermana: wy nic nie wiecie. On ma tu stosunek w mieście z córką jednego Niemca... któréj przyrzekł się żenić... bo podobno jest konsolacya... dwuletnia... Jeszcze przy ślubie może być skandal gdy się Niemka dowie... a notabene codzień do niéj chodzi.

— Wielkąbyś mi łaskę zrobił—odezwał się Herman, gdybyś mi dał jéj adres.

— Nic łatwiejszego... Gretchen Frisch, córka urzędnika pocztowego, ulica Mostowa N. 15.... Ale mnie nie zdradź na Boga, mnie nie zdradź!

— Nikogo nigdy nie zdradziłem—odezwał się Herman dolewając mu szampana z blizko stojącéj butelki.

Pocałowali się serdecznie... Dołęga trzy razy pił jego zdrowie... w końcu w fotelu usnął...

Zdobywszy ciekawą i ważną wiadomość o pannie Gretchen, Herman miał w ręku narzędzie do pozbycia się Lubicza; szło tylko o użycie go takie, aby hrabina przekonać się dała że była oszukana.

Nazajutrz po długich namysłach nie mówiąc nic nikomu, Herman pieszo udał się pod wskazany adres, na ulicę Mostową N. 15. Dom był mały i niepozorny, stary, a pierwsze piąterko po nad szynkiem, które państwo Frisch zajmowali, miało tylko trzy okna od ulicy. Na dole dowiedział się że Gotlieb Frisch, stary człek, mieszkał sam z córką... że był wdowcem, i że panna Gretchen właśnie sama była w domu. Poszedł więc na górę... Otworzyła mu drzwi sługa, a na zapytanie o pannę, pobiegła się dowiedzieć czy przyjmie gościa... W chwilę potém proszono go przejść do saloniku niemiecką urządzonego modą, z mnóztwem niesmacznych cacek tandetnych po komodach, etażerkach i stolikach. Cały ten przybór zdradzał ubóztwo, które się chciało pozorami elegancyi zamaskować... Po chwili wyszła uśmiechając się, bardzo ładna, pulchna, dosyć pretensyonalnie ubrana blondynka, słusznego wzrostu, zalotnego wejrzenia... która znalazłszy się w obec zupełnie nieznajomego mężczyzny, nagle nasrożyła się niezmiernie. Spodziewała się snadź całe kogoś innego.

Herman przeprosił ją za to, że choć nieznajomy zmuszony jest w bardzo pilnym i ważnym interesie prosić o chwilę rozmowy.

Panna przyzwalając na to, okazywała jednak wciąż humor jak najgorszy... a mimo fochów, pięknego chłopca mierzyła oczami ognisto zaostrzonemi. Całe znalezienie się okazywało osóbkę mało wykształconą a rozmarzoną... Po krótkim wstępie górnolotnym i uczuciowym, Herman wyraził jéj, że się przypadkiem pewnéj historyi smutnéj dowiedział, że jako człowiek sentymentów delikatnych, uczuł się w obowiązku choć obcy przyjść do niéj z radą i przestrogą. Opowiedział jéj historyę Lubicza, który mając względem osoby tak miłéj jak panna Gretchen obowiązki święte—żenił się z inną kobietą. Panna z razu dzika i gniewna, poczęła się rozczulać, płakać, przyznawać, narzekać i prosić o radę. Nagle ożywiwszy się nawet powiedziała o dziecku, pobiegła je przynieść, a było bardzo ładne, i cała we łzach, dla wspaniałomyślnego obrońcy swéj czci, przyrzekła mu dozgonną wdzięczność.

Herman wchodząc w jéj położenie, grzecznie, zręcznie, nauczył ją, o któréj godzinie i jak ma z dziecięciem na ręku przybyć do hrabiny przyrzekając (nie mówił kto był) że pewnemi wpływy wyrobi jéj posłuchanie. Zalecił przytém ażeby w żadne nie wchodziła układy i domagała się ślubu, przyrzekając iż w razie gdyby doń zmusiła uwodziciela, on ze swéj strony dopomoże do—wesela... Panna Frisch nie mogła temu

CHARAKTERYSTYKA



Loże.

zbawcy niespodzianemu znaleźć dość wdzięcznych wyrazów na podziękowanie... darzyła go najsłodszemi wejrzeniami i najpiękniejszemi uśmiechy, a wychodzącemu ścisnęła dłoń z takiém uczuciem, że Herman o mało z progu nazad nie wrócił.

— Niech pani tylko postąpi z rozwagą i energią, a ręczę za skutek... i jak najwięcéj rozgłosu! to pomoże!

Zatarłszy ręce wrócił z téj wycieczki Herman dosyć rad z siebie. Czuł się już w usposobieniu do czynu, i paląc cygaro a podśpiewując knował dalsze plany. Miał jeszcze przed sobą Sylwana, Lelię, pana Aleksandra, którego myślał żenić, bo mu się to wydawało zabawném, na ostatek Hannę—która mu równie się wydawała ponętną i straszną i—Violę, w której się znowu kochał zapamiętale...

Pomimo zakazu jéj bywania bez Sylwana, raz tam już przypuszczony postanowił korzystać z drzwi otwartych... i próbować szczęścia... bez towarzysza... Poszedł więc wprost do mieszkania Violi.

Niespodziewano się go tam wcale. Cerber siedział przy drzwiach, Herman zobaczywszy go, minę ułożył niewinną, spokojną, obojętną.

— Dzień dobry panu Pawłowi.

— Do nóg upadam pana grafa.

— Jest mój brat Sylwan?

— A—nie ma... o téj porze?..

— Jakto? miał być niezawodnie. — Herman spojrzał na zegarek.

— Miał być? powtórzył Szerszeń głową trzęsąc.—Miał być? mości dobrodzieju.

— Miał być, panie artysto—dodał Herman jestem pewien że nadejdzie... Gdybym tu mógł na niego poczekać...

— Tu? spytał Szerszeń.

— Spytajcie się panienki, ręcze, że pozwoli... będzie grzeczniejsza od was, rzekł hrabia.

Viola słuchała podedrzwiami, zdawało się jéj śmieszném, tak się obawiać młodego i przyzwoitego człowieka. Uchyliła nieco drzwi i odezwała się:

— Chce pan się tu doczekać pana Sylwana? bardzo proszę... ale czyż być obiecał?

— Niezawodnie! skłamał wchodząc Herman i oczyma pożerając Violę, któréj smutny wdzięk zdawała się słabość i wymizerowanie powiększać. Była to chorobliwa piękność, w któréj się czasem zdrowie kocha—dla praw kontrastu. Czarne jéj oczy w ciemnych obwódkach wychodziły z dziwnym blaskiem jakby dogorywających świateł... cerę miała bladą i jednostajną, prawie przejrzystą — usta tylko różowością malinową odbijały się na niéj ostrym obrysem. Ale na wargach tych, w uśmiechu tyle było wyrazu zagadkowego, tyle wdzięku! Ciemnych włosów warkocze w nieładzie oplątujące głowę téj maseczce marmurowéj barwy, nadawały uroczy koloryt bistru i złota...

Viola weszła, Herman za nią wśliznął się na palcach, a Cerber mrucząc i ruszając zgarbionemi ramionami, stanął pod drzwiami na straży. Pawłowa w takich wypadkach zwykła się była natrętnie kręcić po pokoju.

— Dałem tu Sylwanowi *rendez-vous*, odezwał się Herman, aby się o zdrowie pani dowiedzieć, i prawdziwiem pani wdzięczen że mi nie każesz stać na wschodach. Bardzo pragnąłem się tu dostać...

— Aby mnie skompromitować? zapytała Viola—aby powiedzieć przed przyjaciołmi, że bywasz u aktorki?... i aby ci przyjaciele pomyśleć mogli żeśmy, w najczulszych stosunkach? Nieprawdaż panie? spytała Viola chłodno,

— Widać z tych posądzeń, że pani mnie wcale nie znasz, odezwał się Herman; bo ja nigdy w życiu nic *dla ludzi* nie robię, niczém się nie chwalę, a żyję dla siebie.

— I chwalisz się pan tém tylko?

— Nie—ale się tego nie zapieram... Od pierwszego wystąpienia pani gdym ją na teatrze zobaczył, wzruszyłaś mnie, podbiłaś i—na cóż się będę taił—zakochałem się szalenie.

Viola ramionami ruszyła.

— Pan! pan? hrabiątko takie w Cygance jak ja? cha! cha! Fantazya...

Po chwili dodała Viola, białemi palcami mnąc chusteczkę, któréj końce trzymała:

—Prawda, że my artystki uchodzimy za płoche... żeśmy ubogie i spragnione życia, że wiele z nas się sprzedaje za godzinę rozrywki — lecz panie hrabio, ja jestem wyjątkowo dzika i tak naiwna że wolę nędzę moją niż upodlenie... Pocóż pan będziesz czas tracił?.. Wychowana w nędzy—otrzaskana ze słowy ostremi, nie waham się mówić co myślę... nie jest to wdzięczne, ale po cóż pana będę zwodziła?

Prostota dziecięca, z jaką to sobie wszystko mówiła powoli, zimno... nie rumieniąc się—nadzwyczaj zajęła i wzruszyła Hermana.

— Owszem... zachwycasz mnie pani... tą szczerością—zawołał—ale wywołujesz ją nawzajem odemnie. Nie będę się jéj chwalił, że jestem istotą wyjątkową—powiem tylko że nigdy nie kłamię, chyba z tymi, co mnie chcą okłamać. Mówię pani, żem się w niéj zakochał—to nie jest próżne słowo... Należę do tych ludzi, co gdy się kochają... to na zabój...

— A ja do tych, co gdy słyszą o kochaniu śmieją się, i mam ochotę tego spróbować.

— Stara i zła metoda, droga pani—przerwał Herman: dowiodę tego. Są miłości, co próbę ognia i wody wytrzymają, a prysną potém od prószynki... W próbach gra rolę miłość własna... Na co się zdało próbować? serce powinno czuć...

— Nic nie czuje! rozśmiała się Viola.

— A ja nie rozpaczam, że się to może zmienić.

— Wątpię... hrabiowie jak pan, kochają się

MIEJSC TEATRALNYCH.



KRZESŁA.

w Cygankach jak ja, dwa tygodnie... dopóki nowe nie przyjadą.

— Nie liczże się pani do tych Cyganek.

— Niestety! gdybym ja nie chciała się liczyć, to drudzy mnie do nich zapiszą.

Herman siadł na kanapie.

— Teraz, rzekł zmieniając rozmowę, rad jestem Sylwanowi, że nie przychodzi... A bardzo ja panią nudzę?

— Mogę wytrzymać!

— Długo?...

Viola nie odpowiedziała... Herman westchnął.

— Ja się pani muszę okrutnym szaławiłą wydawać—ale przysięgam, mam serce, na które rachować można.

Viola uśmiechając się patrzała na niego ironicznie.

— A! miły Boże—poczęła smutnym głosem—jakież to upokarzające dla mnie, co mi pan mówisz! jak mi się chce zapłakać bezbronnéj słysząc te słowa... Powiedz pan? miałżebyś odwagę w salonie pierwszéj lepszéj panience je powtórzyć?

— Gdybym czuł—niechybnie—rzekł Herman.

— A powiedziawszy je, byłbyś związanym.

— Ja się równie czuję niemi związanym względem pani...

Ruszyła ramionami Viola i odwróciła głowę: Szerszeń wszedł coś mrucząc, popatrzał na hrabiego, na aktorkę... ruszył ramionami i wysunął się...

Herman wziął kapelusz.

— Widzę, rzekł, że się Sylwana nie doczekam. Mówmy seryo... Pozwól mi czasem przyjść, przynieść sobie słowo pociechy... Do serca, zajętego może, nie roszczę praw, szanuję uczucie—lecz czemużbym nie mógł być jéj dobrym bratem i przyjacielem?...

— Dla tego że w tę przyjaźń, niestety! nikt nie uwierzy... Wam się nic nie stanie... na mnie powiedzą żem wietrznica... Chcesz że pan żebym okupowała te miłe chwile wstydem i—obmową ludzką?..

— To prawda! ale gdybyś miała serce litościwe, dobre... a zrozumiała mnie i wierzyła... możebym to pozwolenie uzyskał...

Była chwila milczenia, biednemu dziewczęciu czegoś łza zakręciła się w oku, spojrzała się na Hermana milcząco...

— Tylko mi pan już o żadnéj nie mów miłości! szepnęła cicho—to boli!

— Zgoda—ale mam pozwolenie.

— Czasami... bardzo rzadko... z panem Sylwanem, tak lepiéj... choć—ja się pana nie boję, ja się boję ludzi.

Hrabia poskoczył do jéj ręki, pochwycił ją namiętnie, przycisnął do ust gwałtem i uciekł...

Szerszeń, który całéj téj sceny był świadkiem przez szparę odedrzwi, zamknąwszy drzwi wszedł poważnie do pokoju.

— Jak Boga kocham, mości dobrodzieju—panienko—odezwał się surowo—to już źle. No, jeden ten poczciwy pan Sylwan, człek wytrawny, jak sobie chce... ale już i brat, a potém swat, a potém się ich tu zejdzie cała kopa... To dalipan źle... Już niech panienka mi daruje—że ja to mówię...

Viola zaczęła płakać, Szerszeniowa przystąpiła do męża, aby go pohamować.

— Upośledzona istoto, mości dobrodzieju—idź sobie odemnie—zawołał Paweł—ja mam poczucie świętych obowiązków... Ja tego hrabiątka nie lubię .. i jak powiada nieśmiertelny nasz mistrz...

Wyjście Violi która się schroniła do drugiego pokoju—przerwało potok przygotowanych słów Szerszenia.—Poczęło się małżeństwo kłócić z sobą.

Herman, któremu się udało nareszcie zbliżyć do Violi—wyszedł bardzo szczęśliwy... Wszystko mu się udawało... wesół był i nie mógł usiedzieć na miejscu... popędził do Sylwana...

Tu zastał nad spodziewanie jakby przygotowanie do drogi... Lelia smutna i blada siedziała na kanapce. Zbierano papiery, wiązano książki... chłopiec zwijał się po pokojach.

— Co to jest? zawołał wchodząc Herman.

— Jeszcze nic—ale chę być gotowym do drogi—rzekł Sylwan, i módz wyjechać gdy mi znak będzie dany, że mają wypędzić.

— Niech-no pani Sylwanowi doda otuchy—rzekł Herman witając się z Lelią.—Nadto widzi czarno świat cały.

— Czarny on jest wyszepnęła Lelia.

— Nie... Dla kliki czarnéj a brudnéj która nam go chwilowo zasłania? o! nie! Sylwan... od czasu jak panna Hanna się rozkaprysiła...

Lelia spojrzała na niego złośliwie.

— A pan nie przyczyniłeś się do tego jéj rozkapryszenia? spytała cicho.

— Ja?—bardzo wątpię—odparł Herman; ale za to pani ręczyć mogę, że ja się panny Hanny boję...

— I nic więcéj? spytała Lelia.

— Myślisz pani żem się zajął! rozśmiał się Herman... A zaciekawiłem się... ale—zakochać? Jabym się z nią na śmierć zanudził... Idealna jest ale postawiwszy ją na postumencie, okadziwszy go i pokłoniwszy się, trzeba gdzieindziéj szukać życia i serca.

— Chociaż Hanna zadała mi cios bardzo bolesny, odparła wdowa wstając, ale powiem żeś pan niesprawiedliwy dla niéj... Hanna ma wiele dumy, Hanna jest poważna—lecz w piersiach jéj bije serce, a w głowie żyje myśl... Bojaźliwość dziewczęca osłania oboje przed oczyma ludzi.

(d. c. n.)

Z KRAKOWA DO RZYMU.

III.

Stolica Austro-Węgier jest jednėm z miast w którém obcemu przyjezdnemu choćby po raz pierwszy bardzo łatwo jest oryentować się nawet bez planu miasta, a to z dwóch powodów, raz, iż ogromna wieża S-go Szczepana przez krakowskiego budowniczego Wencela czterysta lat temu do tak potężnéj została wzniesiona wysokości, że zewsząd, a zwłaszcza z przedmieść, serce grodu wskazuje; powtóre, iż okalająca miasto szeroka alea na miejscu fortyfikacyi zrzuconych powstała, łączy wszystkie ulice wewnętrznego starego zacieśnionego właściwego Wiednia z przedmieściami,—wiadomość ta zdaje mi się być pocieszającą dla przyszłorocznéj nawały cudzoziemców zamierzających nawiedzić stolicę Habsburgów podczas wystawy powszechnéj.

Wiedeń buduje się na potęgę od roku, głoszą to wszystkie czasopisma, dodając iż to rozszerzanie się i wznoszenie miasta spowodowane zostało czasowem, blizko całorocznėm zamknięciem Paryża. Uważam twierdzenie to za błędne z powodu iż w rok po otwarciu bram Lutecyi, Wiedeń nieprzestał się wznosić ale wzrasta bezustannie i odważam się utrzymywać że przyczyna leży w zmienionych wewnętrznych stosunkach państwa austryackiego. A ciekawą jest rzeczą, jak się to, dziś milion mieszkańców liczące miasto w murowaną i kamienną sukienkę przystraja; wielu widzi podobieństwo w architekturze wiedeńskiéj do paryzkiéj, ja spostrzegłem tu dwa wybitne prądy, jeden powszechno europejski wzorujący się na włoskim stylu odrodzenia i tą drogą podobny do francuzkiego, drugi który właściwie wiedeńskim, rakuzkim nazwaćby należało, sięgający po motywa budowlane do romańskiego stylu jak to na stolicę cesarstwa rzymskiego przystało. Pytanie teraz zachodzi co się w jakim stylu buduje i który z nich piękniejszemi, szczęśliwszemi, poszczycić się może okazami.

Na to pytanie łatwo odpowiedziećby sobie mógł każdy człowiek fachowy, budowniczy estetyk, gdyby się dowiedział jednéj tylko rzeczy, jakie budowle przeważnie jednym a jakie drugim posługują się stylem. Oto wszystkie publiczne: teatry, giełdy, stacye kolei, koszary, trzymają się romańskiego,—wszystkie zaś prywatne jako to: domy, pałace, hotele są w stylu odrodzenia—role tu odwrócone, styl bowiem przejściowy, w drobiazgach tylko piękny i zajmujący, ma służyć budowlom poważniejszym i odwrotnie.—Tem się tłómaczy przepełnienie Wiednia domami o karyatidach i posągach przy bramach i nad bramami domów prywatnych, które się bierze w pierwszéj chwili za budowle publicznego użytku... tak istotnie, karyatidy, posągi symboliczne, są charakterystyczną cechą budowania prywatnego w stolicy Austryi, nieudolne użycie drobiazgowych ozdób i motywów embrionowego stylu romańskiego na budynku wielkiego teatru jest też słabą stroną najpyszniejszéj w świecie stacyi kolei żelaznéj północnéj, jest grubym błędem, omyłką, zmarnowaniem niezmiernych summ na postawienie czegoś zupełnie niearchitektonicznego... jest cechą budowli tutejszych publicznych. Postęp jednak i tu widać, najnowsze cztery budynki świadczą o tém: zaliczam do nich ostrołukowy kościół wotowy przez cesarza zfundowany na pamiątkę ocalenia od zamachu, dwa przybytki sztuk, Towarzystwa muzycznego i artystów plastycznych stowarzyszonych i muzeum przemysłowe: budynek państwowy.

Winienem bliżéj objaśnić w czém widzę wady jednych, a zaletę innych bndowl wzmiankowanych.

Rozsławiony teatr opery wielkiéj odznacza się pysznėm urządzeniem wewnętrznėm a zwłaszcza tak obmyślanym przewiewem powietrza, iż zawsze jednakowy jest w nim stopień ciepła otrzymywany przez ściśle obliczone upuszczanie złego i gorącego a wpuszczanie świeżego w miarę ostudzonego, lub w zimie odpowiednio ogrzanego;—za to zewnętrzna postać budowli z jednéj tylko przodowéj strony w małym stopniu przypomina, że to miejsce poświęcone rzeczom nadobnym. Arkadowanie dolne, otwarte i pierwszopiętrowy freskami ozdobiony otwarty także balkon są całą ozdobą; z powodu jednak owych romańskich proporcyi, wymiary słupów czworograniastych podpierających półkoliste arkady są nizkie a grube, tak iż sznurowate w rogach wcięrtych umieszczone niby kolumienki, czy wiązadła stylowe, nikną przy tym ogromie. Cały ten czworobok foremny o małych bocznych występach naokoło zaopatrzony jest w okna kwadratowe szerokie o zaokrąglonych w górze rogach, co może dobrze oświetlać wnętrze części budowli, ale zewnątrz daje jéj charakter biur kolei żelaznéj dziwnie wyglądających pośród bardzo pięknego obszernego placu w pobliżu pałacu cesarskiego. Budowla stacyi kolei żelaznéj o przepysznym dwupiętrowym przysionku

ozdobionym słupami z kolorowych marmurów zakończonych złoconemi nagłówkami na których wspierają się rzeźbione i kolorowe malowane i złocone sklepienia, oświetlone oknami o szybach kolorowych, robi to samo wrażenie przepychu i nieudolności architektonicznej a braku wszelkiej pomysłowości; różni się wszakże od teatru tém, że przynajmniéj zewnętrzna postać budowli nieco średniowieczno-fortecznego pokroju ma jakikolwiek wyraz zbliżony do przeznaczenia stacyi stojącéj na straży bezpieczeństwa osób i majątków publicznych. Wnętrze za to odznacza się szczególną bojaźliwością konstrukcyi, grube marmurowe słupy stoją tak blizko siebie, tak zacieśnione łuki sklepień podpierają, iż zdają się rumienić, że im tak mały ciężar do dźwigania dano.

Estetyk łatwo sobie wyobrazi jak może wyglądać sceptyczna i zimna giełda wiedeńska upostaciowana liryczno-romantycznemi żarysami, krętych słupów i figurynek na wspornikach cechujących styl romański. Niepowiem aby interesa finansowo państwowe, przemysłowe, i obrót bogactwa narodowego mające na widoku, niedały się upostaciować pięknie, z natury swéj czynności te są dość poważne; ale przyznać trzeba, że romantyzm i liryzm do nich przyczepiony wygląda komicznie.

Wielką i zupełną odpowiedniością postaci zewnętrznéj do przeznaczenia odznacza się budynek muzeum przemysłowego. Muzeum to mieści w sobie zabytki dawnéj i nowéj sztuki plastycznéj wszystkich narodów w odpowiednich odlewach lub naśladowaniach tak iż nawet starożytne greckie i rzymskie bronzowe narzędzia i naczynia wybornie odlane z gipsu i pobronzowane znaleźć tu można. Od dawnéj sztuki aż do dzisiejszych współczesnych wyrobów przemysłu i rzemiosł z sztuką spokrewnionych, mieści się tu wszystko co tylko wielkim nakładem rządowym zgromadzić się dało przeznaczeniem zaś zbiorów tych jest wpływać na postęp przemysłu i rękodzieł raz drogą samego wystawienia wyrobów, powtóre, drogą wykładów teoretycznych jak i technicznych. Zakład to wzorowy. Dom ogromny w którym się to wszystko mieści stoi na miejscu odosobnionem obszernem, przy owéj alei nowéj otaczającéj starą część miasta, pozór ma skromny poważny a jednak ozdobny pomiernie i pięknie. Styl tego budynku jest włoski z czasów odrodzenia sztuki, a ściśléj biorąc lombardzki, połączone bowiem są w jego ozdobieniu zewnętrznem surowe mury z kamiennemi narożnikami medalionami z gliny palonéj polewanéj i sgraffitowemi fryzami. Medalionów szereg składają portrety znakomitych artystow, rękodzielników i uczonych.

O ostrołukowym kościele wotowym to można krótko lecz stanowczo na jego wielką pochwałę choć w niewielu słowach wypowiedzieć, iż odznacza się bardzo pięknemi liniami i zupełną czystością stylu.

W ogóle nowe budowle wiedeńskie odznaczają się świetnością, starannością wykonania najdrobniejszych szczegółów i ozdobnością posuniętą do przepychu w prywatnych nawet domach .Pomalowanie ozdobne przysionków, bram, kawiarni piwiarni, restauracyj, zdobienie tych ostatnich posągami i płaskorzeźbami napotyka się w suterenowych nawet acz ogromnych tego rodzaju zakładach. Na zewnętrznych ścianach budowl publicznych i domów prywatnych spotkać się można nieraz z malowidłami freskowemi na złoconych tłach lub sgrafitowemi ozdobieniami.

Aby skończyć z postacią nowego Wiednia nie można niepowiedzieć słów kilku o ruchu miejskim, o tém co oko przechodnia uderza.

Pod tym względem stolica Austro-Węgier należy do najbardziéj ożywionych miast. Omnibusy kolejne i zwyczajne ułatwiają przenoszenie się tych mass ludności z jednego końca rozległego miasta na drugi, wewnątrz jednak pieszy ruch wre bezustannie i zapełnia ciągle ulice.

Omnibusy kolejowe wiedeńskie są najpraktyczniejszéj budowy jaką widziałem szczególnie z powodu lekkości, przykrycie mają płócienne na żelaznych prętach, (wprawdzie mogące tylko w lecie i w pogodę dostatecznie zasłonić jadących), a że są oprócz tego jeszcze bardzo nizko na koła lekkiéj konstrukcyi opuszczone, przeto łatwo się w nie wsiada i z nich wysiada, nie niszczą ciężarem drogi szynowéj i bez wysilenia mogą być w każdéj chwili na punkcie zatrzymane. Dwie dogodności wypływają z téj ich budowy jeszcze: bezpieczeństwo dla przechodniów i mniejsze utrudzenie, zatém mniejsze zniszczenie koni.

Najbardziéj w oko wpadającą odrębnością, cechującą męzką połowę tego miasta jest zamiłowanie w paleniu tytoniu pod rozmaitemi postaciami,—wiedeńczyk nie wypuszcza prawie z ust cygara, papierosa lub fajki, sklepy w których najrozmaitszego kształtu i wielkości przyrządy do palenia z pianki, porcelany i drzewa są wystawione, cieszą się zawsze ciekawemi rozmaitych stanów, powołań i wieku połykającemi ślinkę na widok rozkosznie uśmiechających się do nich przyrządów tytuniowych.

Piękna połowa ludności wiedeńskiéj odznacza się istotnie powabami i gustownym ubiorem w którym zachowuje pewną charakterystyczną odrębność. Wiadomo iż Wiedeń, jako trzecia z rzędu stolica europejska (pierwszą, pod względem liczby ludności jest Londyn, drugą Paryż) ma pretensyę do posiadania własnego wytworu mód, (podobną pretensyę lecz już zupełnie niesłusznie rości sobie obecnie Berlin), a jakkolwiek są one zupełnie podobne do paryzkich, w kobiecym stroju odróżniają się pozostaniem przy dawnych długich stanach i porzuconém przez zgrabne bez tego francuzki, niesłychaném ściskaniem się sznórówkami; wprawdzie wydają się przez to gorsy wiedenek sutszemi niż może są w istocie, aby jednak były piękniejsze utrzymywać trudno.

Typ twarzy jest tu bardzo trudny do zformułowania zwłaszcza w męzkiéj połowie ludności. Kobiecy jest wybitniejszy, możnaby go nawet ściśle określić temi cechami: owal podłużny ku dołowi zaokrąglony zgrabnie, nos pociągły i długi, prosty, ostro zakończony, oczy dość duże, wdzięku wiele; w sztuce typ ten, czy przypadkowo czy umyślnie odtworzył Canova w swéj Wenerze wychodzącéj z kąpieli. Męzki typ trudny jest do sformułowania z powodu zapewne wielkiéj różnorodności ludności wiedeńskiéj która chociaż przeważnie w potocznéj mowie używa niemieckiego języka, nosi wszakże na sobie cechy najrozmaitszych rass tak iż typ jakkolwiek germański napotkać można zaledwie jeden na dziesięciu mieszkańców.

Równoległą do powyższéj uwagi jest inna, że dwie trzecie firm sklepowych i rękodzielniczych zwłaszcza na przedmieściach Wiednia składają nazwiska słowiańskie, a w tych nadewszystko górują czeskie.

Zwiedzając Wiedeń niepodobna też pominąć starożytnych budowl, zabytków i muzeów tego grodu, niektóre z nich sięgają bardzo odległych czasów. Kościół Ś. Ruprechta mały budynek z VIII wieku wystawiony był w owych czasach, kiedy ta dziś najbardziéj zacieśniona pięcio sześcio i siedmiopiętrowemi domami dzielnica była lasem zarośnięta. Obecnie pod względem wązkości ulic starych, Wiedeń nie ma pewnie równego sobie miasta w środkowéj i północnéj Europie, są bowiem takie zaułki, że sąsiedzi z przeciwka, w czasach kiedy panowała moda długich cybuchów u fajek zapalali je sobie nawzajem.

Punktem środkowym, ozdobą i chlubą Wiednia jest kościół Ś. Szczepana wewnątrz nie tak wielki jakby to z kolosalnéj wieży wnioskować było można. Niezajmuje więcéj powierzchni od kościoła maryackiego w Krakowie, szerszy jest z powodu iż boczne nawy ma obszerniejsze, ale kto wie czy nie krótszy, cały z kamienia więc w ozdobności ostrołukowéj niezmiernie wytworny i harmonijny, tchnie wewnątrz jakimś dziwném opuszczeniem, pustką. Ludność wielkiéj stolicy która przez tyle wieków pod temi sklepieniami dla chwały bożéj gromadziła się nie pozostawiła po sobie prawie żadnych pamiątek w grobowcach, fundacyach nabożnych, ołtarzach i t. p. w tym względzie Ś. Szczepan nie może się równać z Panną Maryą krakowską. Jeden też jest tylko grobowiec cesarski z czerwonego marmuru któregoś Leopolda a i ten nieodznacza się wielką artystycznością wykonania.

Podobną zupełnie pustką świeci kościół Augustyanów przy Burgu, czyli pałacu Cesarskim prawie jedynym tam także grobowcem jest owa piramida Canowy z figurami wyobrażającemi korowód pogrzebowy postawiona dla arcyksiężniczki Krystyny przez męża. Grobowce cesarzów w podziemiach kościoła kapucynów obszerne są i starannie utrzymane acz bardzo skromne, większość stanowią proste sargofagi kamienne lub nieozdobne bronzowe trumny, kilka jest ozdobniejszych ołowianych, a najozdobniejszy wielki zakończony postaciami sargofag cesarzowéj Teresy.

Biblioteka i skarbiec domu cesarskiego są istotnie najbardziéj zajmujące w Burgu: pierwsza ogromna w stylu upadającego w XVIII wieku budownictwa, ozdobiona ogromnemi i bardzo zajmującemi freskami z tegoż wieku, zapełniającemi sklepienia i półkola odpowiadające lunetom oknowym, drugi w małéj zacieśnionéj miejscowości mieści w sobie tak pod względem bogactwa jak pod względem pamiątek historycznych przedmioty niezmiernéj wartości i wagi.

Niepodobna mi jest w téj krótkiéj notacie z podróży pomieścić opisu lub nawet tylko spisu tego wszystkiego, coby jeszcze było zajmującém w zbiorach wiedeńskich;—wspomnę więc pokrótce jeszcze o dwóch najważniejszych, które do całości ogółowego wyobrażenia o stolicy Austryi wejść muszą a są niemi: zbiór starożytności i osobliwości połączony ze zbrojownią czyli tak zwany Ambraser-sammlung i galerya obrazów starożytnych i nowożytnych w Belwederze położonym na drugim końcu ogrodu poczynającego się za zbrojownią: obadwa leżą w miejscowości od miasta odległéj. Starożytności Egipskie, greckie i rzymskie w niewielkiéj tu znajdują się liczbie i niedość systematycznie ułożone, aby się na nich czegoś nauczyć można; a równie mało pouczająca jest ta część zbioru rozmaitych osobliwości która dawniéj kunstkamerę dworską widać stanowiła—zbrojownia za to i galerya portretów domu Habsburgskiego posiadają osobliwości istotnie historycznego i obyczajowego znaczenia. Stare chorągwie, rycerzy w zbroje zakuci konni, pieszych też uzbrojeń nie mało aż do koletów weneckich aksamitnych i skórzanych, do rękawiczek i innych drobiazgów zgromadzono tu ciekawości nie mało Między inn

mi jest tu zbroja Stefana Batorego i Radziwiła któregoś.

Zbiór obrazów starożytnych mieści w sobie wielką liczbę prac pierwszorzędnych mistrzów; najbardziéj jednak zajmującemi dla mnie były kolosalne obrazy Rubensa i Wandyka, a to z tego powodu, że tych artystów w Wiedniu znajdują się lepsze dzieła niż w innych galeryach Europejskich. Szczególnie Wandyka Samson przez filistynów krępowany jest dziwnie rozrzewniającym z tego powodu, iż w nim ten młodo zmarły artysta złożył dowód czémby mógł być jako malarz historyczny gdyby był dłużéj pożył. Téj kompozycyi, téj energii rysunku, siły i piękności kolorytu, ani Tycyan ani Tintoretto by się nie powstydzili. Włoska szkoła pewnie piękniejby tu wyglądała gdyby ją restauratorowie obrazów nie byli tak często naprawiali,—na wszystkich znać rękę partacką tych panów, którym się wydaje, że są wielkiemi artystami i ludźmi wielce uczonymi, a w rzeczy szarlatanią tylko wybornie. Oto dowód naprzykład nieuctwa konserwatora zbioru Belwederskiego owego sławnego odnawiacza Endera, znajdujemy w katalogu przez niego sporządzonym. Tycyana piękność jedną trzymającą w ręku wachlarz w kształcie chorągiewki, jakie we Włoszech i Francyi w XVI wieku w powszechném były użyciu, p. E. w katalogu napisał, iż to jest osoba z chorągiewką,—dobre objaśnienie dla chcących się z katalogu czegoś dowiedzieć.

Zbiór obrazów nowożytnych mieszczący się na drugiém piętrze, formowany był przez dwór wyraźnie tylko w celu popierania sztuki; zapełniony jest miernotami z których ledwie kilkanaście jest dzieł istotnéj artystycznéj wartości. Rozumie się, że Matejki, Achenbacha, Gauermana, Swobody, zajmują tu miejsca najprzedniejsze, chociaż „Sejm" z powodu czy to złego światła, czy z innych jakich dużo tutaj traci. Rozsławionego Makarta „Julia i Paris", jest to obraz pod niektóremi tylko względami nieco lepszy od naszego Tepy lwowianina.

A Prater?! może zapytać ktoś z boku... Prater odpowiem może się podobać chyba Wiedeńczykom, którzy pamiętają go w świeższéj zieloności, mniéj zapchanym kawiarniami i piwiarniami zajmującemi dwie trzecie całego obszaru parku, jedna trzecia więc tylko ma w sobie nieco przyjemnéj zieloności. Do zwierzyńca (Thiergarten), niech się turyści nie trudzą napróżno, oprócz napisu nic tam już nie znajdą, były kiedyś lwy i orły, potém zostały węże i małpy, a dziś już nic nie ma: sic transit gloria animalium.

ROZMAITOŚCI.

— Turkestan zostający już od lat kilku prowincyą rossyjską, ma powierzchni około 15,050 mil kwadratowych geograficznych, tudzież około 1,400,000 mieszkańców. W ogóle stopień zaludnienia prowincyi jest bardzo szczupły, wynosi bowiem 92 głowy na milę kwadratową; wszakże w dolinach urodzajnych zaludnienie jest gęstsze. Z ogólnéj liczby mieszkańców przypada 1,085,000 na plemiona koczownicze, 375,000 na pół-koczownicze, oraz 60,000 na ludność rossyjską, któréj połowę stanowi wojsko. Osadnicy przybyli z Rossyi należą po większéj części do ludności małoruskiéj z gubernii Woronezkiéj, oraz do przychodniów z gubernii syberyjskich.

W Styczniu 1872 r. zacznie wychodzić pod kierunkiem bb. wychowańców Szkoły Głównéj

„BIBLIOTEKA UMIEJĘTNOŚCI PRAWNYCH"

Program wydawnictwa zatwierdzony przez władzę obejmuje;

A. Przekłady dzieł prawnych z rossyjskiego i zagranicznych języków.

B. Prace oryginalne miejscowych praw dotyczące.

Co do treści tak jedne jak drugie zawierać będą:

1. Objaśnienia obowiązującego w kraju prawa cywilnego karnego. 2. Procedurę cywilną i kryminalną z uwzględnieniem szczególniéj Ustaw od roku 1864 w Cesarstwie obowiązujących. 3. Filozofię Prawa. 4. Historyę prawodawstw w ogóle, historyę prawodawstw słowiańskich, a szczególniéj ruskiego i polskiego. 5. Encyklopedyę prawa. 6. Prawo państwowe. 7. Prawo międzynarodowe. 8. Prawo kanoniczne. 9. Medycynę sądową. 10. Psychologię kryminalną.

Sprostcwanie. Nr. 101, stron. 936, szpalta 3, wiersz 19 od dołu, po wyrazach: *ze sztandarem na czele*, opuszczono: *kładąc kres niesnaskom osobistym.*



Panu **L. Wołczyń.** w Szadku. 1go lipca r. b. otrzymaliśmy prenumeratę na Wieniec i Encyklopedyę rs. 6 kop 50, co stanowi na Wieniec kwartał III i IV rs. 4, i na Encyklopedyę tom I i II rs. 2 kop. 50, które to dwa tomy Encyklopedyi zostały wysłane, zaś zeszyty 13 i 14 Encyklopedyi, należące już do tomu III z powodu niewniesionéj prenumeraty na takowy, nie zostały wysłane.

Panu **A. Karp.** w Brześciu. Dnia 18 czerwca r. b. otrzymaliśmy prenumeratę na Wieniec i Encyklopedyę rs. 6 kop. 50, co stanowi na Wieniec kwartał III i IV rs. 4 i na Encyklopedyę tom I i II rs. 2 kop. 50.

Panu **A. Woszczals.** w Łowiczu. Otrzymaliśmy prenumeratę na Encyklopedyę tylko na tom I i III, a zatem nie mogliśmy wysłać brakujących zeszytów Encyklopedyi 7, 8, 9, 10, 11 i 12, ponieważ te zeszyty należą do tomu IIgo.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 14 (26) Декабря 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand M. Pr. i Ad.

w Drukarni S Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.